

P a w e ł K o z ł o w s k i

Andrzej Walicki. Z rozmów ostatnich

Andrzej Walicki należał do wąskiego grona gigantów myśli; był zapewne najwybitniejszym ze wszystkich polskich humanistów debiutujących po II wojnie światowej. Jego każde słowo i każde zdanie miały znaczenie i wagę – odciskały się w kulturze i promieniowały. Przepuszczalnie pojawią się kiedyś wielce znaczący nowi myśliciele, ale na razie została po nim i po wcześniej zmarłych pustka.

Miał wyraźny program intelektualny i określoną, z nim związaną, postawę obywatelską oraz rolę narodową. Konsekwentnie przez całe życie ten plan realizował, zachował wierność celom i ich uzasadnieniom. Miały one mocne fundamenty ideowe i moralne, zapewne również dlatego żaden z jego tekstów, nawet z odległych czasów, nie zwietrzył i można każdy z bardzo dużego ich zbioru czytać nie tylko z uwzględnieniem kontekstu historycznego, lecz także poza, a właściwie ponad dniami jego powstawania. To cecha dzieł klasycznych i umysłów wyznaczających bieg kultury, zasadniczo odmiennych od tych popularnych w jakiejś godzinie lub tygodniu, stanowiących echo opinii i przed-sądów aktualnie modnych i sezonowo ustalonych. Walicki znał zmienne i powierzchniowe nastroje towarzyskie, ulotne opinie społeczne, traktował je z uwagą, lecz im nie ulegał. Nigdy. Zapewne również i z tego powodu bywał przez współczesnych jawnie lub skrycie ignorowany, odsuwany, jego twórczość dzielono na fragmenty, lecz mimo tych unieszkodliwiających zabiegów nie sposób było się z nim nie liczyć. Swój program intelektualny Walicki sformułował jednoznacznie i bez odstępstw, z odwagą wypełniał wszystkie jego punkty: pomóc Polsce (a także Rosji) zrozumieć samą siebie, przybliżyć Polskę i Rosję do świata zachodniego, ale ich w nim nie roztopić i nie unice-

stwić. Sprzyjać również światu w lepszym poznaniu Polski (i Rosji) oraz w uznaniu tych społeczeństw i ich dorobku za swoją immanentną, zwiększającą bogactwo powszechnej kultury, a nie zewnętrzną część. Walicki dążył w szczególnie udany sposób do rozwijania pluralizmu i wyrazistości kultury polskiej, rosyjskiej i całej zachodniej.

Publikował o Polsce w świecie i o świecie w Polsce, łączył nas z innymi współczesnymi, żyjących z przodkami, naszymi i wspólnymi. Bogactwem kultury jest jej różnorodność, oryginalność, a także wewnętrzna dialogiczność, z której wynika żywotność. Przyczyniał się do kulturowej witalności.

Był badaczem historii intelektualnej, myśli filozoficznej, politycznej i społecznej, także prawnej i ekonomicznej, z dogłębną znajomością rzeczy uwzględniał dorobek socjologiczny, traktował go jako przedmiot analiz oraz jako niezastąpione narzędzie do rozumienia innych myśli, zwłaszcza tych bardziej wysublimowanych. One bowiem nie spadły z nieba i nie powstały na odludziu, bez książek i podłoża wspomnień. Był również myślicielem politycznym, do intelektualnego rozpoznania współczesności stosował narzędzia i sposób czytania tekstu świata wypracowane przez historię idei i socjologię, które koherentnie złączone dawały nieprzemijające polityczne polityki. Tylko szkoda, że na ogół w chwili powstawania praktycy im się nie przyglądali – burzyły stereotypy, co utrudniało percepcję. Miał głęboki kontakt ze społeczną i polityczną rzeczywistością – chciał na nie wpływać i wierzył, że przy pomocy innych niż obowiązujące intelektualnych ustaleń i pytań jest to możliwe. Żył nadzieją, z czasem coraz słabszą, że swoim przekazem dociera do tych, którzy także myślami się posługują. Traktował ich deklaracje poważnie, z biegiem swoich lat coraz bardziej przesunął się ku perspektywie politycznej, mocniej niż kiedykolwiek wcześniej zapowiadał, że zamierza pisać tak, jak mówi podczas naszych spotkań, czyli wprost, bez ogródek i z wyciągnięciem wszelkich konsekwencji ze stanowisk przeciwnych, szczególnie tych prezentowanych publicznie jako jedynie właściwe.

Był człowiekiem idei i pióra, w głębi bardzo emocjonalny i wrażliwy, posługiwał się myślą dla osiągnięcia integralności, zarówno podmiotu, jak i przedmiotu, siebie i świata. A myślenie abstrakcyjne, ale wywodzące się z konkretności, opanował w sposób genialny i uprawiał je aż do końca, co najmniej do trzeciego dnia przed śmiercią, gdy zerwała się z nim komunikacja werbalna. Ostateczną postacią myśli, ich krystalizacją i uporządkowaniem był dla niego zapis na papierze. Pisał, bo myślał, i myślał, bo pisał. Najpierw powstawała w głowie myśl, a później dokonywał jej obróbki i rozwinięcia podczas tworzenia tekstu. To nie była tylko, ani nie przede wszystkim stylizacja – to było formowanie samej myśli, pisanie Walickiego wchodziło bowiem w skład jego myśli. Choć najpierw zawsze zaczynało się od głowy i ręki, a nie od białej kartki i okularów.

Bolesną udrękę ostatnich dwóch lat życia stanowiła utrata władzy nad dłońmi. Nie mógł utrzymać w nich pióra, palce miał zgrabiące, sztywne i coraz

bardziej pozbawione kontroli. Jego wyraźne niegdyś pismo, litery gęsto i równo znaczone, stawało się rozchwiane, nierówne, coraz trudniejsze do odczytania, również dla autora. Przestał podkreślać poznawane przez siebie teksty, nie chciał już ich znakować, tracił pismo. Dyktować nie umiał, bo przecież właśnie pisanie było dla niego sprzęgnięte z myśleniem, palce były końcówkami mózgu.

Zostawały rozmowy, „wymiana myśli”, jak nazywał je Andrzej Walicki, a używał tego określenia bynajmniej nie w konwencji metaforycznej. Rozmawialiśmy w ciągu kilkudziesięciu lat często i dużo. Porozumiewaliśmy się doskonale – takie mam wrażenie, nadzieję i przekonanie, i choć trudno naszą wymianę myśli nazwać ekwiwalentną, ja bardzo na niej korzystałem, chyba trochę korzystał i on; podejrzewam, że najwięcej z samego procesu porozumiewania się. Do końca, do ostatniego dnia, w którym wypowiadał się już z trudem, miał plany i zamiary. Formułował myśli w głowie, wracał do nich, łączył je, konfrontował, modyfikował i systematyzował. Była to przecież, obok rozległej warstwy emocjonalnej, konstrukcja jego egzystencji, szukanie i nadawanie sensu światu i swojemu życiu.

Interesował się światem i Polską nieustannie, definiował sam siebie właśnie wobec i z udziałem polityki, nigdy mimo niej, choć nie tylko z nią. Również z tego powodu miał twórcze zamiary, bo tworzenie czegoś i siebie jest u Walickiego jednością. Niektóre fragmenty tych planów precyzował, do wszystkich wracał i je rozwijał. Mówił mi, że chciałby o wielu rzeczach napisać, bo myśli ma ułożone, a dotyczą one, razem tak uważaliśmy, spraw istotnych. On zajmował się tylko sprawami ważnymi, a jeśli jego uwagę przyciągała okoliczność z pozoru przygodna, to potrafił ją zgłębić i intelektualnie spenetrować.

Z tych wszystkich powodów, a więc z racji jego projektów i naszych częstych wymian myśli, sądzę, że warto, bym plany i zamierzenia Andrzeja Walickiego przedstawił. Wymienię je bez nadawania im rang i oznaczenia ważności. On nie porządkował ich w ten sposób, a skoro często i do końca o nich mówił, to znaczy, że wszystkie uważał za godne wzmożonej uwagi i znał już sposób ich ujęcia. Do ostatnich dni nie brakowało mu woli i możliwości intelektualnych, nie starczało jednak sił fizycznych. Tracił zasoby biologiczne, zostawała istota duchowa.

Polska po II wojnie światowej – jej cechy główne i określenie do nich stosunku

Polska pojałtańska, a więc trwająca między 1945 a 1990 rokiem, ma swoją historię. Wpływała na biografię wszystkich członków narodu i zmieniała się. Nie można mówić o 1945, 1953 czy 1958 roku i o latach po nich następujących jako jednej, w pełni spójnej i statycznej całości.

Najważniejszy w jej historii był przełom październikowy, a więc okolice 1956 roku. Wtedy właśnie, w wyniku procesu detotalitaryzacji, nastąpiła zasadnicza, pozytywna zmiana, a nie, jak głosiła późniejsza opozycja, dopiero w roku 1990, wraz z transformacją ustroju. Termin „totalitaryzm” użyty jest tu nieprzypadkowo, ma on określony pojęciowy sens i niekorzystanie z niego pozbawia najnowszą historię wyrazistości, a nadużywanie prowadzi do utraty jego esencjonalnej treści. Odrzucenie totalitaryzmu dokonało się więc wewnątrz systemu, a nie w wyniku działań zewnętrznych, i znacznie wcześniej przed ostatecznym rozpadem całego systemu. Wyjście ze stalinowskiego totalitaryzmu było najwyraźniejszą i głęboką korzystną zmianą w Polsce Ludowej. Nigdy nie nastąpił odwrót od zmian październikowych, one trwały, i zawodu rewizjonistów – wynikającego z ich jakoby pełnego, począwszy już od 1957 roku, zakwestionowania – Walicki nie podzielał. Wzrost wolności uważał za niewątpliwy, a wszechogarniająca odgórna indoktrynacja i oddolna samokontrola bardzo zawężyły swój zakres. Ideokracja przekształcała się w świecką grę interesów.

Z dążeniami partyjnych rewizjonistów Andrzej Walicki się nie utożsamiał, bo z innej perspektywy oglądał Polskę. Kluczowe było nie zastąpienie złej władzy dobrą, czyli „naszą”, ale ograniczenie jej zakresu. Opowiadał się za taką strategią realnych zmian, które krok za krokiem polepszają sytuację społeczną i kulturalną, a nie za przyciskaniem władzy do muru bez względu na ewentualność jej negatywnego responsu.

Są dwa procesy i dwa dążenia (wielokrotnie Walicki o nich pisał, a więc rzadko o tym rozmawialiśmy): odwołujące się do liberalizmu lub do demokracji. Pierwszy oznacza ograniczenie obszarów władzy, drugi możliwość jej wybierania; pierwszy kładzie nacisk na wolność jednostki i wybór własnej drogi życiowej, drugi – na wolność polityczną, w wyniku której władza ma być nasza. Ewolucja systemu przebiegająca do połowy lat 70. ubiegłego wieku zmierzała tym pierwszym szlakiem. Dodajmy, że Walicki wskazywał, wbrew środowisku rewizjonistów, na liberalizację jako sposób wyjścia z PRL.

Polska Ludowa, rozumiana jako okres między 1945 a 1990 rokiem, powinna być pokazywana wieloaspektowo, nie prezentystycznie i bez podtekstu własnej heroicznej wobec niej postawy. Jej historia jest niestety zakłamaną, to fragment polskiego zafałszowanego stosunku do przeszłości obejmującej okres zaczynający się zaborami. Owo zakłamanie wywiera duży wpływ na terażniejszość i na zaczynającą się w niej przyszłość. Manifestuje się ono (Andrzej Walicki lubił dające jasność systematyzacje) w:

- nieodróżnianiu procesu liberalizacji od demokracji,
- nieodróżnianiu państwa od ustroju,
- nieodróżnianiu totalitaryzmu od komunizmu,
- nieodróżnianiu komunizmu od państwowego socjalizmu (Andrzej Walicki wybrał w rozmowach taką nazwę, ja raczej skłaniałem się do określenia „autorytarny socjalizm”),

- nieuwzględnieniu wielu dobrych stron tamtego okresu (mimo konsekwentnego u Walickiego od początku, bez fazy oczarowania, jego odrzucenia, ale nie anihilacji),
- nieodróżnianiu Rosji od komunizmu,
- przeciwstawianiu sobie władzy i całego społeczeństwa, co oznacza zarówno kwestionowanie jakichkolwiek łączących je związków, jak i pomijanie całej sfery między nimi pośredniczącej, tworzonej przez inteligencję, twórców, Kościół itd.,
- bagatelizowaniu procesów przebiegających wewnątrz systemu, a dalece nadmierne eksponowanie roli i wagi opozycji,
- braku dywersyfikacji zarówno opozycji, jak i władzy, pomijanie ich wzajemnych zależności, co prowadzi do schematu manichejskiego.

Zadaniem władzy po 1945 roku było przeprowadzenie narodu – z jak najmniejszymi kosztami i jak największymi korzyściami – przez trudny, choć nie pierwszy w historii Polski, okres zwasalizowania. Zrobiła to – na samym końcu ze szczególnie dużą odpowiedzialnością, którą wziął na siebie Wojciech Jaruzelski. Kilka razy bawiliśmy się w szkolne oceny z zastosowaniem tradycyjnej skali odrzucającej lub promującej, czyli: 2 – to „niedostateczny” (dyskwalifikacja), 3 – „dostateczny” (promocja na minimalnym, ale pozytywnym szczeblu), 4 – „dobry” (budzący zadowolenie), 5 – „bardzo dobry” (lepiej być nie może). Andrzej Walicki po dłuższym zastanowieniu nie zmienił zdania i oceniając Polskę Ludową, trwał przy stopniu 3+, nieco więcej niż „dostatecznie”. Ja stawiałem raczej 4 lub 4–, być może na różnicy między nami zaważyła stalinowska trauma w biografii Walickiego, której próba mnie, na szczęście, nie dotknęła. Podstawowym kryterium tej skali ocen było wykorzystanie realnie istniejących szans, minimalizacja kosztów przy maksymalizacji zysków oraz uwzględnianie porównań z innymi tego rodzaju krajami i z własną przeszłością. Jednym słowem – fundament tworzyły atrybuty polityki realnej.

Rozmowy te na ogół związane były z oceną Polski „Solidarnościowej” i z odrębnym wątkiem, w którym dzieje Polski widziane są jako czasy niewykorzystanych szans. A więc z obrazem losu narodu, który pretenduje do bycia narodem politycznym, ale takim nie jest lub bywa nim jedynie niekiedy, za rzadko. Z tego punktu widzenia Polsce „Solidarnościowej” Walicki stawiał bez wahania ocenę niedostateczną. Nie było tu między nami sporu, a rozmawialiśmy przy tej okazji też o wielu innych sprawach.

Polska – Rosja – świat

Polska interesowała go bardzo. Rozmawialiśmy o tym, co się u nas dzieje, często, bodaj przy każdej okazji, choć z reguły nie był to temat jedyny.

Źle oceniał skutki transformacji. Robił to zawsze z perspektywy politycznego realizmu: skłanianie innych do heroizmu, mocarstwowy misjonizm lub przeciwnie – ofiarnicze cierpiętnictwo były mu obce. Tym bardziej, że widział, jak jego i nas zewsząd taka atmosfera otacza.

Polska przestała mieć świątłych przewodników. Elity po 1990 roku zdradziły, inteligencja rozsypała się w końcu lat 70. Najlepiej, w warunkach nie przez siebie wybranych, zachował się lud. Elity inteligenckie zaciągnęły przecież – cytował nie raz Bielińskiego, Czernyszewskiego i Hercena – zobowiązanie wobec reszty, były dłużnikami ludu. Tymczasem w Polsce po 1990 roku głosiły one coś przeciwnego, to lud ma im pomagać w trudzie neoliberalnej modernizacji i w jej imię się poświęcać. Takie były treści „Gazety Wyborczej” i „Polityki”, które czytał systematycznie (inne wydawnictwa prasowe czytał również, ale co pewien czas), takie myśli w swoich artykułach wyrażali: W. Gadowski, H. Bochniarz, A. Michnik, J. Baczyński, J. Żakowski, S. Sierakowski i inni. Prawie wszyscy. W dziennikarzach polskich, notabene, bardzo cenił umiejętności pisarsko-językowe, choć był wysoce krytyczny wobec ich poziomu intelektualnego oraz braku ugruntowania w faktach. To właśnie stare i nowe elity są roszczeniowe, a nie lud. Lud polski jest często wręcz przesadnie uległy.

To zróżnicowanie ocen wynika z odmienności ról: zadaniem ludu jest przetrwać trudne czasy, zachować „substancję”, w miarę możliwości rozwinąć się, nie ulec przytłaczającym – a tym bardziej nie poddać się zgubnym – okolicznościom, wydać lepsze dzieci, poprawić otoczenie... Te wszystkie powinności nasz lud, w większym lub mniejszym stopniu, spełnił. Rolą zaś elit jest przewodzić, nadawać kierunek, być zdolnym do wyrzeczeń, umieć wstydzić się za los innych i za siebie, zasypywać przepaście, łagodzić opresje, pośredniczyć, odznaczać się empatią i przewidywać również odległe skutki dzisiejszych wyborów. Elity nasze, mówił wielokrotnie Walicki, przyjęły zaś w nowym ustroju postawę autoheroiczną, przypisały sobie pełnię zasług narodowo-wyzwoleńczych, obdarowały siebie przywilejami, wskazywały na swoją niezłomność, oddanie, porównywały obecną działalność do życia przodków w czasie zaborów, dowodziły, że to w gruncie rzeczy dzięki nim dobiegł kres kolejnej okupacji, lub, jak ustalił Donald Tusk, w 1989 roku skończyła się II wojna światowa.

Tymczasem należy dostrzec – razem uznawaliśmy, że nie sposób tego faktu przecenić – w historii Polski Ludowej „ludzi środka”, klerków, Popperowskich inżynierów cząstkowych, kierujących się, jak Stanisław Stomma, „mądrością etapu”, odrzucających maksymalizm, chroniących i rozwijających

kulturę, wiążących terażniejszość z przeszłością, Polskę ze światem, naciskających na władzę, ale nie przypierających jej do ściany, nie eksponujących swojej samozwańczej wyższości. Wymienialiśmy nazwiska i wspominaliśmy osoby, takie jak: Jan Szczepański, Czesław Bobrowski, Zdzisław Sadowski, Stanisław Stomma, Władysław Markiewicz, Tadeusz Kotarbiński, Maria i Stanisław Ossowsky, Kazimierz Ajdukiewicz, Witold Kula, Tadeusz Manteuffel, Stefan Nowak, Władysław Tatarkiewicz, Kazimierz Wyka, Bogdan Suchodolski, Sergiusz Hessen, Konstanty Grzybowski... Nazwisk jest dużo, nie tylko ze świata nauki, i znacznie więcej niż przedstawicieli opozycji.

Teraz elity przekształciły się w grupę ludzi najbardziej majątnych, zajmujących między innymi najwyższe szczeble instytucji finansowych, nieprodukcyjnych, lecz mnożących pieniądze i mających rzeczywisty wpływ na władzę państwową lub po prostu ją sprawujących. Nie o lud im idzie, nie troskę o społeczeństwo uważają za swoje zadanie, ale interes własny podniesiony do rangi światopoglądu.

W ostatnich latach Walicki wracał często do Jana Wacława Machajskiego i jego wcześniejszych analiz, teraz świetnie pasujących do politycznego wiarołomstwa inteligentnych przywódców opozycji, wykorzystujących robotników i pozostawiających ich samym sobie w 1990 roku i później. O niekoherentnych, woluntarystycznych i utopijno-socjalistycznych postulatach „Solidarności” z 1980 roku Walicki pisał wcześniej, na bieżąco – swojego krytycznego zdania nigdy na ich temat nie zmienił.

Teraz przejmował go los ludu opuszczonego przez niegdysiejszą opozycję. Myślał o tym, miał w głowie skryształizowane myśli i chciał je zapisać swoim drobnym, foremnym pismem. Nie zdążył wypełnić i tego planu, ale mówił, że szczególnie bliski stał mu się Tadeusz Kowalik, poruszyła go książka Katarzyny Dudy (pod tytułem *Kiedyś to było życie, teraz jest już tylko bieda*), dostrzegał klęskę polityczną Karola Modzelewskiego i mu współczuł, a także negatywnie, choć z uśmiechem, przeżywał dominujący triumfalizm protagonistów Polski „Solidarnościowej”, mówiących teraz, jak Adam Michnik, że jeszcze nigdy nie żyliśmy w tak wspaniałym świecie. Nie dziwił się na to społecznej reakcji, a populizm uważał nie za przed-myślowy, amorficzny twór, ale za ideologię, która każdorazowo ma określoną treść i stosowną konstrukcję. Wiedział, co mówi, bo od badania rosyjskiego populizmu (narodnictwa) zaczął swoją intelektualną peregrynację przez świat i życie.

Wskazywał, że swoje poglądy niewiele zmienił, kontrolował ich ruch, dzisiaj nawiązywał do tego, co pisał lub mówił kiedyś. Chciał, by wszelkie ich zmiany były uzasadnione głębiej, siłą własnej, wewnętrznej logiki i kontaktem z empirią, a w żadnym wypadku nie presją otaczającego środowiska lub nastrojem. I tak było. Jedyną bodaj większą zmianą w jego poglądach jest stosunek do rynku, która to instytucja obu nas interesowała, choć nie jej postać idealna („modelowa”, jak określają ekonomiści), lecz rzeczywista. Andrzej

Walicki kiedyś był większym rynkowcem niż w obecnym stuleciu, ale owe „kiedyś” oznacza schyłek PRL i wówczas drogę przez rynek postulował jako sposób przekształcenia poprzedniego systemu aż do pełnego go opuszczenia. Bez ostentacji, bez symbolicznej, a tym bardziej fizycznej walki narodowo-wyzwoleńczej, a z odwołaniem się do wspólnoty korzyści i kooperacji interesów. Drugim składnikiem tej drogi było prawo i poważny do niego stosunek. On sam traktował je zawsze serio i fundamentalnie. Jedno i drugie, a szczególnie rynek pełnił w jego projekcie wyjścia z autorytarnego socjalizmu (państwowego, według nomenklatury Walickiego) rolę w gruncie rzeczy funkcjonalną, podobnie jak dla liberałów sprzed wieków, gdy odrzucali feudalizm i wskazywali podstawy jego opuszczenia.

Z czasem, a ostatnio bardzo mocno, zaczął krytykować rzeczywistość rynkową (polską i światową), mówiąc, że ani rynek nie jest w niej samoregulujący, ani anonimowy, ani otwarty, ani nie tworzy racjonalności, ani nie zastępuje wojny pokojem, ani dzisiaj nie przypomina w niczym tego, o czym pisał Adam Smith, ani nie jest świeckim przejawem istnienia Opatrzności, ani nie sprzyja rozwojowi. Idea społeczeństwa rynkowego, głoszona i propagowana przez neoliberalistów, jest nową utopią, ideą, której próby realizacji są groźne, dramatyczne i dla wielu tragiczne, niczym wcześniej próby wcielenia w życie marksistowskiej utopii komunistycznej. Nieprzypadkowo jedna z jego ostatnich książek, a ostatnia, której dużą, kluczową część teraz napisał, nosi tytuł *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*.

W drugim dziesięcioleciu XXI wieku, po wyborach w 2015 roku i po zwycięstwie (w sensie możliwości utworzenia rządu) Prawa i Sprawiedliwości kierowanego przez Jarosława Kaczyńskiego, umacniała się w polskim partyjnym życiu politycznym opozycja: PO vs PiS. Istniała mocna, negatywna zależność obu tych ugrupowań. Najczęściej, choć nie bez wyjątków, większość ludzi, z którymi się stykaliśmy, przeciwstawienie to znakowało plusem w odniesieniu do Platformy i minusem w przypadku PiS. Rozpropagowano i skrytykowano tzw. symetryzm, oznaczający odrzucenie obu partii, niegdys rządzącej, uznającej się za liberalną PO i mającego obecnie władzę, autorytarno-nacjonalistycznego PiS. Symetryzm w tygodniku „Polityka” i w dzienniku „Gazeta Wyborcza” uznano za naganny, zrównujący dobro ze złem, naśmiewano się z niego i wzywano do odrzucenia PiS jako ugrupowania ewidentnie skompromitowanego i antydemokratycznego. Andrzej Walicki nie zgadzał się z tak wyznaczoną perspektywą, czasami rysował linię, która na jakimś odcinku się rozdzielała na dwie, ale biegła z tego samego miejsca i prowadziła w tym samym kierunku. W ostatnim roku planował, wielokrotnie o tym wspominał, napisanie tekstu, prawdopodobnie artykułu, adresowanego do większego kręgu publiczności, którego główną tezę chciał ująć ostro: trzeba ogłosić koniec Polski „Solidarnościowej” i zamknąć ten etap historii naszego państwa. Wszystko miał przemyślane, po wielokroć rozważone, a do realizacji

zamiaru potrzebował tylko siły w palcach prawej dłoni. Liczył, że sprawność wróci, tak się jednak nie stało i ten pisarski plan zawisł w przestrzeni czasu. Ale rozmawialiśmy. Przypomniałem, że według Arystotelesa istota zjawiska ujawnia się na końcu rozwoju, istotą drzewa jest owoc, a nie korzeń. On dodał biblijnie: „po owocach ich poznacie”. A oni, czyli tzw. obóz „Solidarnościowy” ciągle odwołuje się do początku, tam widzi swoją istotę, uzasadnienie istnienia i źródło racji.

Walicki odrzucał cały koncept „symetryzm vs antysymetryzm”, nacjonalistyczno-autorytarną linię PiS odnotowywał już u zarania „Solidarności”, nie uważał jej ani za wypaczenie, ani za zdradę. PiS traktował jako następstwo PO, respons, ale wewnątrz tego samego systemu, odpowiedź i kontynuację zarazem. Wiele z tego, co robi w polityce rządzące PiS, zapoczątkowała PO, a właściwie było to już obecne u zarania, w autoheroicznym okresie „Solidarności”: fobia rosyjska, filoamerykanizm, symboliczna bohaterszczyzna, wiekopomne zasługi dla świata, klerykalne achryścijaństwo, antykomunizm bez komunizmu, faktyczne nieuwzględnianie nadrzędności prawa, utowarowienie życia społecznego i kultury (włącznie z nauką), stawianie na sojusze militarne skierowane przeciw Rosji, uznawanie się za jedyne i absolutnego zwycięzcę, triumfalizm łączony z szukaniem przeszkód w obecności innych, ignorowanie lub postponowanie ludzi mających zdanie niekonformistyczne, strzeżenie własnej hegemonii ideowej, próby ustanowienia nowej jedności moralno-politycznej, marzenia o mocarstwowości i narodowy misjonizm. Generalnie: niezrozumienie Polski i świata.

Rozmawialiśmy wielokrotnie, to był jeden z ciągle rozwijanych przez nas wątków, o położeniu Polski w świecie, o randze kraju, jego kultury, nauki, niepowtarzalności dorobku i bieżących osiągnięciach. Pod koniec naszych spotkań, a więc gdy już nie mógł wstać z łóżka, powiedział mi, właściwie wyznał, że jego książki o Polsce ukazywały się na Zachodzie (a wydawały je renomowane wydawnictwa) z dużym, decydującym udziałem finansowym autora. Zależało mu na miejscu Polski w zachodniej i wschodniej kulturze, obecności na tamtejszych uniwersytetach, w instytutach, księgarniach, na konferencjach – we wszystkich poważnych miejscach. Określał się polskim dłużnikiem, miał zobowiązania – nigdy wprost o nich nie mówił, ale ja je słyszałem między wypowiedzianymi przez niego słowami, w konkluzjach, w tonie głosu, w intelektualnym zaangażowaniu i w permanentnej obecności w naszych spotkaniach tej właśnie tematyki.

Pozycję naszej kultury wiązał z rangą Polski. A tę widział największą w drugiej połowie XX wieku, a właściwie w postalinowskich latach Polski Ludowej. Wtedy nie byliśmy mocno antyzachodni ani aktywistycznie pro-wschodni, pośredniczyliśmy, a w każdym razie taką graliśmy (także pełniliśmy) rolę i funkcję. Nie przesuwaliśmy militarnych stref, nie próbowaliśmy budować nowych politycznych ciężarów, na swoich staraniach o obecność w cen-

trum tylko zyskiwaliśmy, nie oddzielaliśmy, lecz łączyliśmy, ceniły nas obie strony. Byliśmy interesujący dla Wschodu i dla Zachodu, szukaliśmy realizmu, nie oferowaliśmy wychowawczych pouczeń. Zapraszali nas jedni i drudzy, bo darzyli nas uznaniem i budziliśmy zaciekawienie. Marksisci polscy należeli do otwartych i w znacznej większości wszyscy znajdowali się na drodze rewizjonistycznej. Krytykowali polskie *status quo* nie rzadziej niż inteligenci odzeganający się w pełni od Marksa. Byliśmy atrakcyjni, manifestowaliśmy ważne myśli i znaczącą sztukę, a działania władz co prawda je ograniczały, lecz nie kneblowały, a tym bardziej nie unicestwiała. Przeciwnie – sprzyjały ich rodzeniu się. Przecież Polska była „najradośniejszym barakiem w obozie”.

Wszystko to zaczęło zmieniać się w latach 80., a następnie uległo zaprzeczeniu. Gdy chcieliśmy być tylko z Zachodem, ranga Polski spadła, swoistość kultury przestała być widoczna, funkcje utraciły walor niezastępowalności, atrakcyjność prawie zupełnie zanikła, a promieniowanie żywotności przekształciło się dla innych w problem lub spowodowało ignorowanie samego istnienia. Walicki mówił o tym nie raz, słowami lub sygnalizował w inny sposób – kierując się takim właśnie rozpoznaniem świata. Widział tę niekorzystną drogę, podważającą wyjątkową rolę Polski w Europie, i nie mógł się z tym pogodzić. Uważał, że podążanie nią nie było konieczne, że tak, jak jest, być nie musi.

Straty wynikające z nowej roli Polski w Europie są duże, zyski powierzchowne, ale taka pesymistyczna konstatacja Andrzeja Walickiego nie obeszła. Przeciwnie – stymulowała aktywność. Dlatego w ostatnim okresie życia, w Polsce „Solidarnościowej”, coraz wyraźniej odchodził od dominacji w swojej twórczości perspektywy akademickiej na rzecz politycznej, takiej, która ma wprost odnosić się do państwa i drogi społeczeństwa. Kiedyś zapytałem, czy nie uważa, że „Solidarność” była polskim obciążeniem, a nie cudownym sukcesem, że odnawia nasze mity, deformuje obraz świata i rolę w nim Polski. Potwierdził to zdanie.

Szczególnie bolały go stosunki z Rosją, odnoszenie się do niej po rozpadzie ZSRR nie tylko Polski, ale większości krajów zachodnioeuropejskich i Stanów Zjednoczonych. Wielokrotnie rozmawialiśmy, jak wielką szansę my i świat straciliśmy w rezultacie odrzucenia propozycji, a właściwie rozbudowanego projektu, Michaiła Gorbaczowa i potraktowania Rosji jako kraju pokonanego, który trzeba podbić do końca, uzależnić i rozczłonkować. Wielokrotnie sięgał do ilustrującej tę strategię mapy z książki Zbigniewa Brzezińskiego, pokazującej cel oraz rolę Polski w jego osiągnięciu. A przecież proces dekomunizacji w Rosji, a wcześniej w ZSRR, trwał długo. Za Gorbaczowa nastąpił finał. Jednym z trzech punktów programu tego polityka, obok skierowanej na użytek wewnętrzny pierestrojki i – szerszy – głośności, była adresowana do Zachodu propozycja Europejskiego Wspólnego Domu. Oznaczała ona rozwiązanie obu paktów wojskowych, przekształcenie rywalizacji we współ-

pracę, niegrożenie bronią atomową i zaprzestanie wyścigu zbrojeń. Mamy wzajemnie się szanować i sobie ufać, samorozbrojenie ZSRR i Rosji było rzadkim w historii wyciągnięciem ręki z propozycją do takiego współistnienia. Zachód ten gest odrzucił, zdradził Rosję, zapominając o wcześniejszych obietnicach o nieprzesuwaniu wojsk NATO, o mającej postępować inwolucji tego militarnego związku i zmianie jego celów, o odejściu od polityki siły, zachowania wszystkich granic, postępującego ograniczenia zbrojeń, uwzględniania odmienności krajów i respektowania ich prawa do własnych wyborów. Tak się nie stało.

Rozmawialiśmy wielokrotnie, że nie sposób zrozumieć roli Putina bagatelizując doświadczenia okresu Jelcynowskiej smuty, efekty inwazji ideowej i gospodarczej neoliberalnego Zachodu. Walicki pisał dużo o okcydentalizmie Putina, z czasem, pod wpływem rozczarowań, selektywnym i ostrożnym, ale nigdy przez niego niezaniechanym. Wymienialiśmy uwagi o jego antykomunizmie, przywiązaniu do ciągłości historii, o nieuleganiu nacjonalizmowi, o konserwatywnej, ewolucyjnej, postępującej własną drogą modernizacji i o wielu jeszcze innych sprawach. Do końca swoich dni Walicki o tym myślał, wymieniał kluczowe składniki polityki Putina, jej wywołane przez reakcje zewnętrzne etapy, informował o jego szczególnej, moralnej i politycznej roli, zapisanej w nowej, przyjętej w 2020 roku Konstytucji Rosji; mówił też o różnicy między Putinem a putinizmem, i o tym, że byłoby dla świata, Rosji i Polski dobrze, żeby Putin sprawował kontrolę nad swoim państwem i polityką jak najdłużej. Nie mógł pogodzić się z postulatem i dążeniem, by nienawiść oddzieliła Polskę i Rosję na zawsze, a morze krwi utworzyło wieczną granicę między Rosją a Ukrainą. Miał o Putinie i Rosji jego czasu napisać artykuł, wszystko obmyślił i ułożył, w głowie wykonał – pozostało tylko usiąść przy biurku, wziąć pióro do ręki i po kilku uzupełnieniach napisać, a właściwie przepisać. Przypuszczam, że byłby to tekst obszerny, o ostro wyrażonej treści, powstałby szybko, w ciągu kilku dni – zabrakło jednak siły. Umieranie organizmu było mocniejsze niż żywotność umysłu.

Naród i idea narodowa

Naród – to było istotne dla Andrzeja Walickiego pojęcie, a także przeżycie. Jedno łączyło się z drugim, zawsze bowiem dążył on do refleksyjnego porządkowania swoich emocjonalnych doznań, zrozumienie świata zbliżało go do rozumienia siebie. Pragnął napisać jeszcze o narodzie, aczkolwiek nie planował jednego rozbudowanego tekstu, raczej kilka, a może różne wątki związane z narodem zamierzał umieścić w rzeczach powstających przede wszystkim z innych powodów.

Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie, ale raczej przy okazji innych spraw. Skłaniałem go do rozbudowania koncepcji narodu liberalnego. Któregoś dnia się ożywił, gdy zobaczył w gazecie krótki artykuł właśnie o tym, wprost nie tyle nawiązujący, co pobieżnie streszczający jego przed laty opublikowane stosowne teksty. Bez powoływania się, jak to nierzadko z traktowaniem twórczości Walickiego bywa, na źródła. Mnie to ucieszyło, bo mogłem wskazać mu dowód obecności jego myśli, choć nie nazwiska, ich wpływy. Walicki natomiast zżymał się, nie z powodu nierzetelności lub amnezji dziennikarza, ale z racji stagnacji myśli. Gazetowy artykuł był bowiem krótką reasumpcją rzeczy starych, powtórzeniem przewodniej idei wyrażonej przed laty, pozbawionym jakiegokolwiek kroku naprzód. Andrzej Walicki zaś lubił i oczekiwał ruchu idei, ich następstwa i wzbogacenia, i rzadko w ostatnich dziesięcioleciach to oczekiwanie mu się spełniało. A łaknął intelektualnego rozwoju jak kania dżdżu.

Wiedział, że czas narodu nie minął, a jego aktualność trzeba zrozumieć. Tym bardziej, że jak wiele innych postaci ludzkich wspólnot, jego walory pozytywne splatają się z cechami negatywnymi. Pożytki płynące z narodu widział jasno, podobnie jak jego swoistość. Pojęcie narodu różni się od pojęcia społeczeństwa, to pierwsze wskazuje na układ wertykalny, to drugie – horyzontalny. Naród łączy pokolenia obecne z przeszłymi i zapowiada następne. Już je formuje, tworzy dziedzictwo, transmisję, więzi trwałe, nieokazjonalne, nadaje sens historii jakiejś ludzkiej zbiorowości i wyznacza jej miejsce; ludzie dzięki niemu mogą zaspokoić potrzebę zadowolenia. Pisali o tym nie tylko romantycy i konserwatyści. Natomiast społeczeństwo ma układ poziomy, to więzi istotne dzisiaj, często zapośredniczone, zwykle teraz związane z instytucjami gospodarczymi, rangami prestiżu i władzy.

Walicki nie akceptował jakiegokolwiek narzucania przez kogokolwiek obowiązującej formy przynależności do narodu, wyznaczania treści tego związku, dekretowania w imieniu państwa (np. przez Sejm) zawartości narodowego dziedzictwa. Odrzucał wszelkie orzekanie, kto jest „prawdziwym” Polakiem, a kto nie, lub komu ewentualnie można przyznać status pół-Polaka, kto ma pełnię praw, a kto może mniej. Owo endeckie rozróżnienie odkrywał w kręgu „Solidarności” wcześniej, zauważył jego obecność także w wypowiedziach prominentnych działaczy tego ruchu. Odnosili je do tzw. komunistów, czyli ludzi związanych z Polską Ludową, pozbawiając ich pełni praw, pisząc i mówiąc – jak czynił to m.in. Jerzy Turowicz – że „oni mogą mniej”, i zrywając w gruncie rzeczy, już następnego dnia po skończeniu obrad, porozumienie Okrągłego Stołu. Tekst Walickiego o Wojciechu Jaruzelskim, wygłoszony pierwotnie jako referat w maju 1985 roku w Izraelu, na Uniwersytecie Ben Guriona w Beer Szewie, był wyrazem odrzucenia tego rodzaju kwalifikacji i prezentacją innej, uprawnionej i budzącej respekt polskiej drogi. Jaruzelski wywoływał szczególną, pozytywną reakcję Walickiego i skupił jego uwagę

z powodu odwagi podejmowania wyborów i dramatycznych okoliczności, w których w ostatnim dziesięcioleciu to robił, od żadnej decyzji nie uciekając, w pełni świadom tego skutków.

Andrzej Walicki, nie odrzucając idei narodu, badał, sprawdzał jej funkcjonowanie w historii i uznawał za cenną i niezastąpioną. W miejsce teorii etnicznych, genetycznych, hierarchicznych itp. przedstawiał liberalną koncepcję narodu. Przyjęcie jej zabezpiecza przed zniewoleniem jednostki, przed jej wchłonięciem przez wspólnotę, a zarazem nie pozbawia człowieka poczucia zadomowienia i tej niezastępowalnej szczególnej więzi z innymi, kulturą oraz dziedzictwem. Naród powinien być, mówił, wspólnotą otwartą, wieloetniczną i pluralistyczną, kontaktującą się z innymi, mającą podstawę w kulturze, a nie w biologii, zbliżającą ludzi i nikogo niewykluczającą. Opartą na komunikacji i na wspólnocie losu, ciągłości, następstwie pokoleń i poszczególnym egzystencjom dającą sens. Zawiera w sobie otwarty zbiór sposobów życia i preferencji, nie dekretuje, co jest prawdziwe, a co fałszywe.

Świat

Interesował się światem zawsze. Polska w nim obecność była istotna, ale ta perspektywa nie stała się dla Andrzeja Walickiego główna ani jedyna. Przyglądał się biegowi społecznego czasu, szukał w nim następstw i podstaw rozumienia. Analizy wykraczały poza samą władzę, ważniejsze były zmiany, ich kierunek i motory napędowe. Do ostatnich dni i godzin świat absorbował jego myśli i wywoływał zdziwienie. Ale przede wszystkim budził zaniepokojenie.

Wielokrotnie wracaliśmy do podstaw tego zaniepokojenia. Andrzej sprawdzał, a przy okazji ja też, czy aby nasze odczucia nie są rodzajem solipsyzmu wieku podeszłego, gdy biologia zużywającego się organizmu wyznacza percepcję. Ale zawsze, po kolejnej myślowej kontroli, trwał, a nawet umacniał się w przekonaniu, że tak jest w istocie, a nie w wyniku projekcji swojego położenia. Miał wyraźne, podbudowane intelektualnie, przeświadczenie regresu. Zaczął się on, według jego rozpoznania, w końcu XX wieku, później budził przejściowe nadzieje pozytywnych zmian, otwierał perspektywę, lecz zawsze na krótko i powierzchownie.

Andrzej Walicki pragnął jeszcze wypowiedzieć się o współczesnym kapitalizmie, niewiele mającym wspólnego z tym rokującym nadzieję w początkowym okresie, choć i wtedy jednak jego dalszy rozwój, w ogólnych zrębach, był przewidywalny. Słynne świeckie prorocstwo Róży Luksemburg głoszące, że po kapitalizmie nastąpi albo socjalizm, albo barbarzyństwo, było Walickiemu bliskie. Rozmawialiśmy na te tematy często, m.in. o niespodziewanej aktualizacji Marksa jako badacza i krytyka kapitalizmu. I o pełnej śmieszności, w po-

łączeniu z tragizmem, jego utopii komunistycznej. Walicki nie tylko o tym mówił, lecz również napisał, polemizując z Leszkiem Kołakowskim, swoim wieloletnim przyjacielem¹. Być może, choć nie zapowiedział tego nigdy jednoznacznie, zamierzał problematykę kapitalizmu i Marksa rozwinąć w oddzielnym, obszernym tekście. Może w związku z dewiacją liberalizmu i wyparciem go przez neoliberalizm, może z racji samych społecznych skutków takiego stanu rzeczy. Wszak w biegu jego myśli poczesne miejsce zajmował czynnik socjologiczny. W każdym razie żywo interesowało go zagadnienie kapitalizmu, współczesnego rynku, alienacji, rynkowego zniewolenia i jego, skrywanej za anonimowością, *quasi*-żywiowości. W ślad za Marksem wskazywał na historyczny charakter rynku i taką samą historyczność ustaleń klasycznej ekonomii jako nauki. Mówił o tym z pełną wiedzą, wynikającą z dogłębnych studiów, a nie z wrażeń i fascynacji przechodzących później łatwo w idiosynkrazję. Był wybitnym marksologiem, przy tym nigdy nie przechodził fazy marksistowskiej wiary. Marksa szanował i cenił, ale nie więcej niż np. Johna Stuarta Milla. Różniło go to, notabene, od reszty twórców warszawskiej szkoły historii idei, co z kolei skłaniało go do głośnego zastanowienia się nad fundamentami konstytuującymi tę szkołę. Zwłaszcza gdy czytał (mówił mi o tym niekiedy poruszony, a czasem rozbawiony) kolejne wydawnictwa jej poświęcone, w których lista członków szkoły coraz bardziej się zwiększała, książek i artykułów o niej traktujących przybywało, a zasób treści się zmniejszał.

O współczesnym gospodarczym i społecznym świecie mówił często i z dużym zaniepokojeniem. Z istniejących i historycznie sprawdzonych za najlepszy uważał system oparty na ideach socjalliberalnych, a więc m.in. Nowy Ład budowany przez Franklina D. Roosevelta, włącznie z tym, co amerykański prezydent zawarł w Drugiej Karcie Praw, a czego nie zdążył zrealizować. W jeszcze większym stopniu wyróżniał powojenne europejskie państwo opiekuńcze. Stawał się, mówił, coraz bardziej lewicowy, zwłaszcza w warunkach polskich. Nie dlatego, że sam zmienił poglądy, ale dlatego, że cała polska scena polityczna po 1990 roku przesunęła się w tym kierunku. Powody były także bezpośrednio: rzeczywisty stan świata, Polski i realna postać dzisiejszego kapitalizmu, systemu, który łączył niebywały wzrost utowarowienia wszystkiego z równie niezwykłą biurokratyzacją instytucji i stosunków społecznych. Kiedyś mu wspominałem, że coraz bliższy staje mi się anarchizm jako sposób powstawania, formowania się i żywotności społeczeństwa. Andrzeja nie zdziwiło moje ideowe wyznanie. Nieco później, pod koniec swojego życia, w maju, czerwcu lub lipcu 2020 roku, powiedział mi to samo o sobie. Ja też nie byłem zdziwiony, odrzekłem, że mnie nie zaskoczył. Wszak nasz anarchizm nie nawiązywał do bezpośredniej walki i likwidacji państwa, lecz do postulatu nomotetyczności Hayeka, do pracy organicznej Świętochowskiego, do antyfeu-

¹ Por. L. Kołakowski, A. Walicki, *Listy 1957–2007*, Warszawa 2018.

dalnej debiurokratyzacji niegdysiejszych wolnorynkowców i do krytyki społeczeństwa rynkowego dokonanej przez Karla Polanyiego. Był nadzieją na odnalezienie nowej przestrzeni twórczej wolności. O tym może też zamierzał kiedyś napisać, po rozwinięciu w głowie odpowiednich myśli.

Andrzeja Walickiego niepokoił polityczny kształt obecnego świata. Bodaj największą repulsję wywoływała w nim agresywna, dążąca do pełnej hegemonii, fałszywie misyjna polityka USA. Tak mocno postponowany przez nie tylko krąg Andrzeja prezydent Trump bardziej odpychał go stylem niż treścią swoich działań (poza szczególnie odrzucającym uznaniem przez niego zaczynającej się katastrofy klimatycznej za zjawisko wyimaginowane), a większą lub mniejszą niechęć żywił wobec wszystkich przywódców tego kraju ostatniego ćwierćwiecza XX wieku. Nie cenił ich z powodu awanturnictwa, wymuszanej na innych dominacji, własnego egoizmu i hipokryzji. Nie był antyamerykański, lecz wiedział, że polityka wewnętrzna i zewnętrzna Stanów Zjednoczonych, jak żadnego innego państwa, decyduje o kształcie całego świata.

Uważał w związku z tym, że lepiej jest, gdy na świecie są dwa wzajemnie się ograniczające mocarstwa globalne, niż jedno. Zainteresowanie budziły w nim pomaioistowskie Chiny, które rzeczywiście zdają się pokazywać, zwłaszcza na początku XXI wieku, inną drogę rozwoju. Niosą ideową i polityczną propozycję, atrakcyjną, być może, dla mniej rozwiniętych krajów, które nie chcą się poddać presji amerykańskiej i nie zamierzają ulec wymogom światowego sektora korporacyjno-finansowego. Takiego kierunku nie wskazuje poradziecka Rosja – potwierdził któregoś dnia wyrażoną przeze mnie uwagę. Rosja, jak mówił, po odrzuceniu przez Zachód jej wyciągniętej ręki, za sprawą Putina nie popadła na szczęście w samoizolację ani w jakiś rodzaj okcydentofobii. Wybrała natomiast drogę konserwatywnej modernizacji, ostrożną, ewolucyjną, dostosowaną do warunków, doceniającą ciągłość i uwzględniającą dramatyzm swojej historii. W niej droga na skróty, szczególnie rewolucja komunistyczna, wywoływała efekty druzgocące. Walicki łączył się ze zdaniem tych Rosjan, z Putinem włącznie, mówiących, że ich naród swój limit przelanej krwi dawno przekroczył i jakakolwiek wojna domowa, a także masowa wojna w ogóle, już nie byłaby dla niego do udźwignięcia i sam się musi przed nią bronić.

Refleksje nad nauką dzisiaj

Przyglądał się, dziwił i niepokoił, aż do towarzyszącego bezsilności poczucia zniechęcenia, obecnemu stanowi nauki. O sposobie funkcjonowania nauk humanistycznych napisał dłuższy artykuł w specjalistycznym piśmie „Nauka Polska” z 2013 roku (w tym samym numerze znajduje się także utrzymany

w podobnym duchu tekst jego żony, Joanny Schiller-Walickiej, oraz mój). Pisał o tym przed laty kilkakrotnie, podobnie jak ja. Mieliliśmy więc o czym rozmawiać, choć były to dialogi gorzkie, owiane przeświadczeniem o szybkim zjeździe polskiej nauki po poręczy schodów. Nowy system, urynkowiający życie i społeczeństwo, opanował też naukę, utowarowił ją i kwantyfikował, a żeby móc przeliczyć na punkty coś, co nie ma natury liczbowej, rozbudowywał – i stale rozbudowuje – biurokrację. Wessał w swe wnętrze ludzi nauki, stwarzając pozory partycypacji i samorządności środowiska. Andrzej Walicki mówił o stanie polskiej nauki od dawna, później chyba się załamał, ogarnęło go poczucie osamotnienia i bezsilności wołającego na puszczy. Nie oznacza to, że pogodził się z tym systemem.

Więcej rozczarowania i goryczy od wprowadzanych odgórnie rynkowo-biurokratycznych zmian, zwanych myląco reformami, budziła w nas postawa środowiska naukowego. Wielokrotnie o tym rozmawialiśmy; ani on, ani ja nie spodziewaliśmy się wtedy i w wielu innych sprawach takiej uległości ludzi polskiej nauki, tak dużego ich zaangażowania w pisanie na punkty, w uczestnictwo w różnych rolach w procedurach grantowych, w tym wszystkim, co podważa odrębny status nauki rozumianej jako część kultury, a nie produkcji, rynku lub rozrywki.

Przypomnijmy, że Andrzej Walicki nadzwyczaj cenił ciągłość, zarówno myśli, jak i instytucji, dokonań itp. W stosunku do nauki nie był naturalistą; uważał, że nauki humanistyczne podążają inną drogą niż przyrodnicze, ale i one mają samowz bogacający je dorobek. Nie są kumulatywne w tym sensie, że ich współczesny stan ma zawierać w sobie cały, pozytywnie zweryfikowany ich przeszły dorobek i w ten sposób go redukować do postaci dzisiejszej. Przeciwnie, są osadzone w historii i terażniejszy badacz ma obowiązek znać dorobek poprzedników, by go rozwijać, robić to krytycznie, a nie apologetycznie, poruszać się ze znajomością rzeczy. W każdym razie zadaniem twórczości naukowej, cechą każdej twórczości, nie jest powielanie tego, co zostało już kiedyś wypowiedziane, poznane, odkrywanie łądów już odkrytych, wyważanie drzwi dawno już otwartych. Walicki nie wyobrażał sobie nauki bez kontynuacji i kultury pozbawionej ciągu następstw, uważał, że dorobek poprzedników trzeba znać tym bardziej, że w humanistyce dzieła z przeszłości liczą się nie mniej niż terażniejsze. Tego wszystkiego, spełnienia tych obowiązków, nie mógł teraz znaleźć, a czytał bardzo dużo i szybko, był nadzwyczaj zorientowany w naszej współczesnej humanistyce. Nie godził się z jej stanem, sprawiało mu to ból tym większy, że cofaniu się współczesnego świata towarzyszył regres intelektualnej nad nim refleksji. Podzielałem tę diagnozę i miałem takie samo towarzyszące jej odczucie. Starłem się jednak, wedle jego poznawczego i metodologicznego wzoru, zrozumieć „młodych”. Mówiłem mu, że oni swojej twórczości, inaczej niż on, nie lokują w nurcie rozwoju nauki i kultury, nie umieszczają jej we wz bogacającym się z biegiem czasu dialogu myśli. Pod-

miotem ich pisarskiej lub werbalnej aktywności jest właśnie sam autor, bez zobowiązań wobec innych, mający indywidualną biografię, ale niezwiązany z historią, a w niej nawet pozbawiony swoich pośrednich poprzedników. Oni piszą i mówią dla siebie, wyrażają własny stosunek do jakiegoś fragmentu dotyczącego ich świata, tłumaczą go, niczym współczesny translator jakiegoś klasycznego, obce językowo dzieło. Znajomość, a nawet tylko świadomość istnienia jakichś innych dokonań na ten temat nie jest potrzebna, a ponadto przeszkadza, bo ogranicza i coś sugeruje.

Andrzej Walicki znał postmodernizm, cenił w nim odrzucenie dekretowania jednej prawdy, postawionej na postumencie przez czynniki najwyższe (państwowe lub religijne). Ale odróżniał wielość perspektyw, z których można i należy ją oglądać, oddzielał istnienie różnych dróg, które do niej prowadzą (Karl Mannheim należał do jego formujących autorów), od unieważnienia prawdy jako takiej i niwelacji obiektu refleksji. Również dlatego nie mógł zaakceptować obecnej postaci humanistyki, a więc nie tylko z powodu stanu naszej nauki i edukacji, nie tylko z powodu cech współczesnego środowiska naukowego, ale także z przyczyn tkwiących w wewnętrznej dynamice rozwoju nauki i jego obecnego etapu. Wszystkie one stanowią splot, który rozważaliśmy z perspektywy socjologicznej i historyczno-epistemologicznej. Wymienialiśmy nie raz spostrzeżenia na ten temat, a ja jeszcze dodawałem hermetyczno-pretensjonalną poetykę współczesnej twórczości, która zdaje się koncentrować nie na przedmiocie, lecz na pokazywaniu siebie i narzucaniu własnego, kamuflującego brak treści, języka.

Rozmawialiśmy również o zaniku potrzeby znajomości historii i obniżeniu jej znaczenia. Zastąpiła ją tworzona stosownie do aktualnych okoliczności opowieść, mity wyparły fakty, a nadrzędną stała się autonomiczna terażniejszość. Kiedyś brak znajomości historii narodu, Europy, czy, wężej ujmując, dziedziny swoich intelektualnych zainteresowań, był wyrazem ułomności i budził poczucie wstydu. Teraz historia została uznana za bezużyteczną i w ramach poszczególnych dyscyplin ogranicza się jej obecność aż do całkowitej eliminacji. Skłaniałem Andrzeja, by o porzuceniu historii napisał coś odrębnego, wiedząc zarazem, że w ramach innych tematów poruszał wielokrotnie tę sprawę. W odpowiedzi nie wyrażał wprost takiego zamiaru, skłaniał się z rosnącą niecierpliwością ku prezentowaniu swoich analiz i poglądów politycznych, ale sprawę widział i doceniał jej wagę. Wiązał ją, podobnie jak ja, z rzeczywistym, głębokim cięciem przekazu międzypokoleniowego, które teraz właśnie się dokonuje i oddziela generacje wstępujące od odchodzących. Zwracał uwagę, powołując się na poważne teksty innych, że to zerwanie komunikacji wynika między innymi z nowych społecznych warunków i z dokonań technologicznych (komputeryzacji). Wiedzieliśmy o tym, lecz skala narastającej odrębności przerosła nasze oczekiwania. I w tym wypadku ostrożnie podchodziliśmy do ocen, lecz wielokrotnie, z podkreśleniem konieczności przemyślenia zdania, Andrzej Walicki mówił o doświadczanym

cofaniu się kultury mimo pozoru wielości wynalazków. Zanik osobowości i znaczących indywidualności w nauce stanowi dobrą ilustrację tego procesu; ja dodawałem tu też uznawanie rozrywki za sztukę, a powodzenia materialnego za sukces życiowy.

Refleksje nad własną egzystencją

Leszek Kołakowski podczas ostatniego pobytu w Polsce powiedział na jednym ze spotkań półgłosem, jakby sam do siebie: „Przegrałem swoje życie”. Zostało to odnotowane i opublikowane w miesięczniku „Zdanie”. Zwróciłem Walickiemu uwagę na to wyznanie, chciałem go skłonić do interpretacji, wszak znał bieg myśli swojego przyjaciela jak mało kto. Przez chwilę się namyślał, po kilku dniach lub tygodniach, w czasie któregoś z kolejnych naszych spotkań, powiedział, że rozumie sens tej wypowiedzi Kołakowskiego. Ja też chyba rozumiałem interpretację Walickiego, choć przekazał mi ją milcząco. Kołakowski przyznał, że nie odnalazł w świecie sensu, że nie udało mu się sensu w świecie zwiększyć, ani wskazać innym przetartą drogę do niego prowadzącą. Widać było, że ta intymnie szczera, lecz wykraczająca poza prywatność wypowiedź Kołakowskiego była dla Walickiego ważna i została mu w głowie. Miała zapewne związek z obszernym esejem, który napisał o Kołakowskim jako wprowadzenie do przygotowywanej przez niego publikacji korespondencji pomiędzy nim a autorem *Głównych nurtów marksizmu* i *Obecności mitu*.

Później, w ostatnich dniach życia Andrzeja, nasze spotkania odbywały się w innej sytuacji. On leżał w łóżku, ciało nie podporządkowywało się jego woli, bolało, nie miał nawet siły, by samemu się trochę przesunąć lub nieco inaczej ułożyć. Ja siedziałem obok i tak rozmawialiśmy. Wtedy powiedział, a właściwie zacytował zdanie Kołakowskiego, traktując je również jako własne: „Przegrałem swoje życie”. Dwa dni później to powtórzył, mówiąc serio, po namyśle, w formie konkluzji. Chyba dobrze zrozumiałem, tak jak on Kołakowskiego.

Twierdzenie to odnosiło się nie do życia osobistego, nie do doznań czysto prywatnych, ale do egzystencji jednostki zanurzonej w społecznym świecie. Walicki był racjonalistą, w różnych racjonalizmu postaciach. Uważał, że można świat objąć umysłem, zbliżyć się do jego zrozumienia. Nawet jeżeli to droga wąska i nie ma końca, jeśli jest niepewna, to każda inna jest jeszcze bardziej ryzykowna i daje gorsze rezultaty. Do jej przebywania niepotrzebne jest przyjęcie założenia o istnieniu racjonalności samego świata, o jego – jak uznawał Hegel – logiczności. Chodzi tylko o sam racjonalny proces poznawania. Uważał ponadto, że przy pomocy myśli, racjonalnych argumentów, publicznego ich eksponowania można na ludzki świat wpływać i korzystnie go kształtować. Miał nadzieję, że otwarcie własnych myśli dla innych, pokazywanie ich

wszystkim będzie traktowane serio, a więc wpłynie na bieg spraw i na związane z nimi wybory. Uważał także, że – o ile nie wiadomo, co ma być ze światem, to można wskazać, jakim on być powinien, czego należy unikać i co naprawiać. Bliski mu był postulat Karla Poppera posługiwania się inżynierią cząstkową, do której w czasie naszych rozmów niejednokrotnie nawiązywaliśmy. Byleby na cząstkowości myślowo nie poprzestawać. Przywiązany był również do stwierdzenia Edwarda Abramowskiego, że wszelkie ustroje trwają w ludzkich głowach, i do zdania Friedricha Hayeka oraz Johna M. Keynesa, a więc dwóch ekonomistów z przeciwstawnych nurtów liberalizmu, podkreślających, że najważniejsze są idee, a nie interesy, wytwory techniki, dobra materialne czy fizyczna siła władzy.

Przyjmując to wszystko, będąc świadomym ograniczeń racjonalizmu (o nich też rozmawialiśmy), miał nadzieję, że jego teksty wpłyną na umysły czytelników, a w konsekwencji na stan społecznego świata, zwłaszcza Polski, choć nie wyłącznie jej. Szczególnie liczył, że uwzględnią je będą ludzie tworzący, czyli – jak niegdyś mówiono – inteligencja: osoby bezpośrednio lub pośrednio biorące udział w kształtowaniu form życia zbiorowego. Tymczasem Polska coraz bardziej odbiegała od jego wyobrażeń, była znacznie gorsza, niż umożliwiały to warunki i tracone raz za razem, już podczas jego ponownej stałej obecności w kraju, szanse. Także Europa, z Unią Europejską włącznie, okazała się nie taka, jaką on i ja sądziliśmy, że będzie. Świat po „zimnej wojnie”, ze swoim stosunkiem do Rosji, z dominacją zrozumiącej Ameryki, ze swoim utowarowieniem i urzeczowieniem przekraczającym wszelkie granice, z globalizacyjnym podbojem i z władzą skrywającą się w polu anonimowości (potrzebnej tylko po to, by mogli pomnażać swoje bogactwo najsilniejsi), taki świat okazał się zupełnie inny niż w racjonalnych marzeniach Walickiego. Mało tego, pod wieloma względami świat jest gorszy, niż był jeszcze niedawno, i zmierza w złą stronę. Dlatego Andrzej uznał, że przegrał swoje życie, choć miało być inaczej, świat mógł być mniej chaotyczny, a Polska znacznie lepsza.

Wielokrotnie wyrażał żal, że w Polsce go nie czytają, nie dostrzegają też poważnych publikacji autorów ze świata, a w USA problematyka Polski i Rosji po rozpadzie ZSRR i zamknięciu drogi, którą podążał blok wschodni, straciła na znaczeniu. Píše teraz, mówił, bez zewnętrznej potrzeby i bez echa, ignorują go i lekceważą jego prace, ideowy i kulturowy program, który realizował w życiu, zdaje się nie mieć żadnej wagi. Odpowiadałem szczerze, że ma intelektualny dorobek niezwyklej rangi, który nie starzeje się, a w najlepszym rozumieniu tego słowa staje się klasyczny i jego waga będzie z upływem czasu rosła.

Miał autentyczne, pozbawione kokieterii, narastające pod koniec poczucie przegrania swego życia. Gdyby go tak w przemyślany sposób nie zaprogramował i gdyby nie umiał tak dobrze odczytywać tekstu świata, dokonane przez niego podsumowanie prawdopodobnie byłoby inne.

Ostatniego dnia naszych rozmów, ostatniego dnia, kiedy nie tylko słuchał, ale mógł artykułować jeszcze pojedyncze słowa lub równoważniki, usłyszałem trzy ostatnie jego zdania. Dwa dni przed śmiercią, po trzygodzinnym spotkaniu, powiedział w przyływie wielkiej mobilizacji: „Chyba to już koniec”. Później powiedział coś o mnie. A na samym końcu dodał: „Bądźmy w kontakcie”. To było oczekiwanie i prośba. Sądzę, że tymi słowami zwrócił się nie tylko do mnie.

Nasze spotkania i wymiana myśli trwały około trzydziestu lat. Zwykle w cztery oczy i najczęściej przez około trzy godziny. W tym tekście przedstawiłem tylko niektóre wątki z ostatnich rozmów, bo w nich zawarty jest intelektualny testament Andrzeja Walickiego.

wrzesień 2020